Papá nigdy nie posyłał jej na lekcje malowania, pragnął bowiem, żeby została lekarzem. Nawet kiedy widać już było, że Frida nie wróci do szkoły, nadal żywił tajemną nadzieję, że jakoś uda się jej zdobyć uprawnienia medyczne.

– Mogę sobie to wziąć? – zapytała Frida, pokazując Papie pojemniki z farbą. – Wyglądają, jakbyś nie używał ich całymi latami.

Odpowiedź Papy mnie zdumiała. – Nie, Frida – powiedział. – To moje. – Jego niemiecka natura bierze górę – szepnęła Frida. – Zawsze na początku się upiera, ale potem ustępuje. I rzeczywiście, po kilku dniach zgodził się pożyczyć farby, ale tylko na jakiś czas. – Dobrze – zgodziła się Frida. – Na jakiś czas. Oboje wiedzieli, że już nigdy ich nie odda. Bóle nóg i pleców nie pozwalały Fridzie długo stać, więc Mami zamówiła u stolarza specjalne sztalugi, mocowane do łóżka, dzięki którym Frida mogła malować w pozycji leżącej. Następnie powiesiła obok łóżka lustro pozwalające Fridzie malować samą siebie, uznała bowiem, że będzie to dla córki miłą rozrywką. Prawdę mówiąc, wszyscy się ucieszyli, kiedy wreszcie znalazła sobie zajęcie i przestała zawracać nam głowę.

Co ciekawe, Mami, która po aferze z Leticią Santiago rzuciła się na Fridę jak hiena, teraz nieustannie dreptała po jej pokoju, a to zmieniając kwiaty, a to zbierając brudną bieliznę do prania. To ona kąpała i czesała Fridę, to ona zmieniała jej pościel. I teraz to ona zamówiła dla niej te cudowne, nowe sztalugi.

– Czy to możliwe – pytała Frida – by dziewczyna kochała swoją matkę i jednocześnie jej nienawidziła?

Co wywołało przypływ troskliwości Mami? Poczucie winy? Świadomość, że Frida może umrzeć? Zwykłe macierzyńskie poczucie obowiązku? Nie wiem. W końcu to pan jest tutaj od wyjaśniania.

Z początku Frida malowała po dwie godziny dziennie, potem jednak to zajęcie zaczęło jej pochłaniać całe poranki i popołudnia. Pod koniec lata 1926 roku ukończyła pierwszy autoportret i wysłała go Alexowi w podarunku. Nie był specjalnie dobry; prawdę mówiąc, wydawał się trochę sztywny, całkiem inny niż prace, które namalowała później, kiedy nabrała wprawy. Przedstawiał Fridę jako renesansową damę, jakie widuje się w książkach, ubraną w aksamitną suknię i patrzącą w dal. Ale udało się – Alex nie tylko przyjął obraz, lecz ponownie zgodził się zostać *novio* Fridy.

Wie pan, Frida potrafiła zachowywać się arogancko, lecz równocześnie była bardzo wrażliwa. Chcę powiedzieć, że pomimo swoich zadziornych póz wcale nie grzeszyła nadmiarem wiary w siebie. Czasem, kiedy malowała, nagle zaczynała płakać.

– To do niczego! Nie mam o tym pojęcia! Gdyby tylko Papá zechciał mnie uczyć!

Ale Papá miał zbyt wiele własnych problemów, by przejmować się nowym hobby córki.

Pewnego dnia nie mogła dobrać właściwego koloru na autoportrecie.

– Co za głupi obraz! – wrzasnęła. – Nienawidzę go!

Stałam bez słowa i patrzyłam na nią. Wiedziałam już, że nie należy się wtrącać. Przed chwilą pokłóciłam się z Antoniem o termin ślubu – miał dosyć ciągłego zwlekania – i sprzeczka z Fridą była ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam.

– Cholera! – wyła. – Niech to szlag trafi! Niech to diabli wezmą! Nic mi nie wychodzi!

Nagle chwyciła pędzel i zaczęła pokrywać płótno czarnymi krzyżami.

Musiałam się odezwać. – Co ty wyprawiasz! – krzyknęłam.

W końcu te płótna i farby kosztowały dużo pieniędzy. Już dawno zużyła zapasy Papy, który musiał jechać do miasta i kupić jej nowe materiały, a teraz ona je marnowała! Właśnie teraz, kiedy przed chwilą ojciec oznajmił, że nie ma za co urządzić mi wesela!

Frida nie przestawała bazgrać po płótnie, mieszając wszystkie barwy, aż zamieniły się w brązowoczarną maź – maź koloru gówna. Pokryła swój portret gównem, rozumie pan? Gówno w oczach, gówno w ustach, gówno na czole!

– Przestań, Frida! Teraz ja wrzeszczałam. Lecz Frida wpadła w amok i zrobiła coś, co naprawdę mnie przeraziło. Przycisnęła dłonie do mokrego płótna, po czym zaczęła rozmazywać obrzydliwą mieszankę po swojej twarzy, włosach i czole. Przez cały czas płakała, naprawdę zalewała się łzami, które ciekły po jej policzkach, żłobiąc koryta w brudnożółtej farbie.

– Frida, przestań, proszę! – błagałam wstrząśnięta. – Przestań! Proszę cię, przestań!

Przestałam krzyczeć. Usiłowałam ją uspokoić, lecz chyba nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności.

– O Boże – łkała. – Boże, nic mi nie wychodzi. Jestem do niczego, nic dziwnego, że nikt mnie nie kocha!

Po czym nabrała garść czerwonej farby z palety i zaczęła smarować nią głowę, gorset, pościel, poduszkę, wszystko dokoła. Brązowe, czerwone i czarne plamy pokryły całą jej twarz, jedynie zęby pozostały białe, choć i na nich widniały czerwone bryzgi. Wydało mi się, że z ust kapie jej krew, że jest skąpana we krwi. Na moich oczach zamieniała się w upiora! Nagle mignęło mi wspomnienie ze szkoły, kiedy to panna Caballero usiłowała upokorzyć Fridę w oczach innych dzieci, Frida jednak wyrwała jej się i wymazała farbą. I teraz historia się powtarzała! Zaczęłam przeraźliwie krzyczeć i dostałam takiego ataku histerii, że Mami, która natychmiast nadbiegła, nie mogła zająć się Fridą, bo najpierw musiała zatroszczyć się o mnie. W końcu wezwano Inocencię, która przygotowała mi *hierba luisa* z jakimś dodatkiem, po czym położyła mnie do łóżka. Chyba przespałam wówczas obiad i kolację.

Frida jednak nie przestała malować. Skupiała się na swym ulubionym temacie: na sobie samej. Nie, to niesprawiedliwe. Przecież przez większość czasu pozostawała przykuta do łóżka, a więc sama musiała być sobie modelką. Kiedy zaczęła częściej siadać, niekiedy pozowały jej Maty albo Adri, namalowała też portret mój i Mami. Wszyscy powtarzali, że jej prace są świetne, że ma talent. Zaczęła myśleć, że może uda się jej zarabiać na życie malowaniem. Ale wciąż niezbyt ufała naszym opiniom, i słusznie – w końcu oceniała ją rodzina i przyjaciele. Cóż mogliśmy wiedzieć o malarstwie?

– Kogo mam zapytać? – powtarzała. – Kto to uczciwie oceni?

Sądzę, że z jednej strony szczerze pragnęła się dowiedzieć, czy jej prace są coś warte, z drugiej jednak obawiała się zasięgnąć zdania prawdziwego fachowca. Każdy by się bał na jej miejscu.

– No cóż – powiedziałam – kiedyś poznałaś sławnego malarza. Frida przygryzła palec i zastanowiła się. – Nie – powiedziała wreszcie. – Nie mogłabym o to prosić Diega Rivery. – Dlaczego nie? – nalegałam. – Mówiłaś, że to miły facet i nie jest snobem. Stała przez chwilę w milczeniu. – To jedyny człowiek, którego opinii ufam bezwzględnie. O ile dobrze pamiętam, nie próbowała się z nim skontaktować ani tego dnia, ani następnego. Po tygodniu czy dwóch jednak znów napomknęła:

– Naprawdę przydałaby mi się obiektywna ocena. Wiem, że ty i Mami chcecie jak najlepiej, ale nie jesteście wiarygodne. Nie macie najmniejszego pojęcia o malarstwie. I ja też nie mam.

Uznałam, że to cud prawdziwy, iż Frida przyznała, że na czymś się nie zna. Zwłaszcza gdy chodziło o sztukę. W końcu przeczytała tyle książek Papy, tyle godzin przesiedziała w bibliotece, iż można by sądzić, że będzie się uważała za znawczynię.

– No – powiedziałam – to idź i znajdź eksperta. Poszukaj Rivery.